

**L**ista pisarzy, dla których piłka nożna była wielką fascynacją, jest długa – poczynając od Alberta Camusa, który trenował na poziomie czwartoligowym. Autor *Obcego*, któremu tylko zaawansowana głuchota uniemożliwiła profesjonalną karierę, stwierdził, że wszystko, co wie o moralności, wie dzięki piłce nożnej. Kolejny był Nabokov. Z polskich pisarzy futbol fascynował Kazimierza Wykę, następnie Jerzego Pilcha, a ostatnio Wojtka Kuczoka, który grał w nią co prawda amatorsko, ale przypłacił tę przygodę zerwaniem więzadeł podkolanowych. Ja także zaczynałem jako piłkarz, skończyłem jako pisarz.

W mojej rodzinnej wsi nie było klubu piłkarskiego – za to bez przerwy graliśmy na leśnej polanie. Była strasznie pochyła – różnica poziomu pomiędzy obiema bramkami wynosiła co najmniej metr. Do bramki na dole piłka sama wpadała, pod górkę grało się zdecydowanie trudniej. Zbierały się dwie wioski, Piórków i Wszachów, dość wrogo do siebie usposobione, i toczyliśmy zaciekle mecze. Było w tym coś z plemiennych potyczek. Nie było to jednak tylko takie „dzikie” granie – wiele żonglowaliśmy, urządzaliśmy slalom z piłką między pachołkami, ćwiczyliśmy przyjęcie futbolówki nogami, klatką piersiową i głową. Od początku najbardziej imponował mi Diego Maradona. Potrafił strzelić gola z niczego. Niestety, nie przypominałem go stylem gry – bardziej już Filippo Inzaghię oraz nieco zapomnianego czeskiego napastnika Pavla Kuke. Nie byłem bardzo szybki, nie miałem bajecznego dryblingu ani atomowego uderzenia. Decydowała umiejętność odnalezienia się na boisku, odpowiedniego ustawienia. Zwykle kręciłem się gdzieś w okolicy pola karnego i czyhałem na okazję do zdobycia bramki. Zawsze na granicy spalonego, tak trudnej do uchwycenia dla sędziów.

Gdy kończyłem ósmą klasę szkoły podstawowej, pojechaliśmy z reprezentacją szkoły Baćkowice na turniej piłkarski zorganizowany przez OKS Opatów. Trenował nas wtedy Kazimierz Barański, który miał duże sukcesy w szkoleniu młodzieży i bardzo we mnie wierzył. Mój zespół przegrał 5:1 z Wojciechowicami, ale ja zdobyłem jedynego gola i zaproponowano mi, żebym poszedł do ogólniaka w Opatowie i uczył się na treningu. OKS Opatów był kiedyś klubem liczącym się na Kielecczyźnie. Gdy tam trafiłem, po trzeciej lidze, w której kiedyś zespół występował, zostały jednak tylko wspomnienia. Wszystko w klubie się sypało. Szatnie pamiętały znacznie lepsze czasy. O ławkach dla kibiców nawet nie wspomnę, bo nie zostały po nich nawet wspomnienia. Z tego klubu wybiło się tak naprawdę dwóch piłkarzy – Tomasz Żelazowski, zwany przez wszystkich Żelazkiem, który trafił stąd do KSZO Ostrowiec i awansował z nim do ekstraklasy, był długo najlepszym napastnikiem hutniczej drużyny, strzelał gole potężnemu w tym czasie Widzewowi Łódź. Drugim piłkarzem, który zrobił karierę na miarę eks-

ZBIGNIEW MASTERNAK

## Ciągle na spalonym

traklasy, był Artur Szymczyk, pomocnik i obrońca, grał m.in. w GKS Katowice i Widzewie Łódź.

W okolicy Opatowa grały takie kluby jak Alit Ożarów czy Cukrownik Włostów. Z tych klubów wywodzili się tacy piłkarze, jak Dariusz Pietrasiak z Cukrownika, który zrobił dużą karierę ligową, zagrał nawet w reprezentacji Polski u Franciszka Smudy, czy Paweł Strąk, który z Alitu trafił m.in. do silnej Wisły Kraków, był reprezentantem polskiej młodzieżówki. Zatem karierę można było zrobić, ale udało się to naprawdę niewielu. Zwykle kończyło się na zawiedzionych nadziejach i nędznych żywotach podrzędnych kopaczy lig regionalnych. Do końca przekonanych, mimo dawno przekroczonej trzydziestki, że jeszcze szczęście się do nich uśmiechnie i zrobią zawrotną karierę, na miarę KSZO lub Korony Kielce. Przeważnie pracowali potem w straży pożarnej lub miejskiej, niekiedy policji, najczęściej w miejskim przedsiębiorstwie oczyszczania miasta. Ci ostatni swoją pracę wykonywali z pogardą, przyłapani – odrzucali miotłę albo łopatę, gdy przechodził dawny kolega z klubu.

Grę w OKS-ie wspominam o tyle dobrze, że to z nią wiążą się moje literackie początki. Dziennikarka regionalnej gazety „Słowo Ludu” poprosiła mnie kiedyś, żebym pisał krótkie notki z meczów: „Ty w tych meczach grasz, to o nich pisz!”. I tak się zaczęło. Z czasem rozszerzyłem tematykę moich artykułów. Pierwszy „niepiłkarski” był o tym, jak w mojej wsi podłączyli wodę i zamarzyli



EURO 2012, Warszawa. Fot. Anna Beata Bohdziewicz.

rury. „Dobra woda była, ale zamarzła”. Od tej pory moje zapisy się wydłużały, z czasem przerodziły się w krótkie opowiadania. Jednak postępy robiłem nie tylko w pisaniu, ale i na boisku. Pod koniec trzeciej klasy liceum, po jednym z meczów towarzyskich zainteresowała się mną Korona Kielce, która grała wówczas w III lidze. Ach, Korona Kielce, marzenie każdego chłopaka z Kieleckiego! Przez cały rok jeździłem na treningi do Kielc (44 km), często prosto z Opatowa, zaraz po szkole, a to było 64 km. I wracałem tego samego dnia, o 23. Nieźle mi szło, ale byłem przemęczony. Do tego przyplątały się kontuzje – naderwałem ścięgna podkolanowe. Korona miała wówczas kłopoty finansowe – to było nad długo przed pojawieniem się w klubie Krzysztofa Klickiego i kolportera. Klicki jeździł jeszcze wtedy starym trabantem i rozwoził gazety po sklepach. W Kielcach grałem za bułkę z szynką. To był intensywny czas. Zdawałem w tym czasie maturę, jeździłem na olimpiady z historii i WOS-u, biegałem przełaje, wydałem tomik poezji, do którego się teraz nie przyznaję, przygotowywałem się do egzaminów na studia prawnicze. Obiecałem sobie, że jak dostanę się na studia do Lublina na UMCS, to będę grał w Motorze Lublin, a jak do Krakowa – to pójdę kopać w Cracovii. Dostałem się do Lublina. Ale wtedy w Lublinie z piłką nożną było słabo – Motor się praktycznie rozpadł z powodu kłopotów finansowych – zamiast niego istniał Lubelski Klub Piłkarski (LKP), który przechodził całą drogę od bodajże C-klasy. Wtedy był chyba w okręgówce – dla mnie poniżej ambicji. W mieście liczyła się wówczas Lublinianka, ale także ledwie przędła finansowo. Poza tym bałem się, że odnowi mi się kontuzja ścięgien podkolanowych. Stwierdziłem, że będę trenował biegi w lekkoatletycznej sekcji AZS UMCS Lublin. Przez półtora roku były to bardzo intensywne treningi – czasem tygodniowo wychodziło mi 100 km wybiegania. Sukces odniosłem już po roku – zdobyliśmy z kolegami drużynowo brązowy medal akademickich mistrzostw Polski w przełajach, które się odbywały nad Zalewem Zemborskim w Lublinie. Niestety, częściej to były drobne sukcesy w biegach ulicznych – na przykład III miejsce w kraśnickim „Biegu Abstynenta”, albo także III miejsce, w biegu o beczkę piwa podczas Medykaliów w Lublinie. W wieku 22 lat wiedziałem już, że najważniejsza jest dla mnie literatura – debiutowałem opowiadaniem w „Twórczości”. Bieganie mnie w końcu znudziło, pisanie też. Poszedłem na trening do Motoru-LKP Lublin. Tam przez pół roku trenowałem z drugim składem. Jako student zagrałem w meczu Polska-Laos. Zdobyłem dwie bramki. Zaliczyłem jeszcze mistrzostwo Lublina studentów w piłce nożnej. Rok wcześniej było to 3. miejsce. Kiedy już zaczynałem odzyskiwać formę – dzięki bieganiu byłem w znakomitej dyspozycji fizycznej – wylali mnie z wydziału prawa. Na dziewięć miesięcy wyjechałem do Lwowa. Tutaj przez pewien czas kopałem w FK Lwów. I handlowałem ikonami. Kiedy

ziemia zaczęła mi się palić na Ukrainie pod nogami, szukała mnie mafia i policja, wróciłem do Polski. Żeby nie iść do wojska i dalej rozwijać się literacko – zacząłem studia polonistyczne we Wrocławiu. Graliśmy z kolegami za akademikiem. Za akademik przychodziło grać mnóstwo dzieciaków z okolicznych blokowisk. Kilku z nich dzięki piłce udało mi się odciągnąć od wędchania kleju. To ważniejsze od medali.

Pamiętam mecze Polska–Kazachstan, Polska–Białoruś, Polska–Czeczenia. Szczególnie zaciekle był mecz z Czeczenami. Nie lubiłem tej ich kaukaskiej zarozumiałości i przeświadczenia, że są najlepsi na świecie. Po tym meczu mnie docenili i odtąd wielu z nich mogłem uważać za swoich przyjaciół. Kiedy miałem kłopoty z prawem, wszyscy stanęli po mojej stronie. W odróżnieniu od Polaków.

Jeden z moich kolegów, który grał kiedyś w trzecioligowej Stali Sanok, namówił mnie na treningi w Ślęzie Wrocław. Znów klub z tradycjami, ale wtedy w okręgówce. Pograłem tu przez pół roku. Jednak zająłem się interesami i kręceniem filmu *Stacja Mirsk*. I tak to znów na piłkę nożną nie starczyło czasu. Z Wrocławia przyjeżdżałem w rodzinne strony – graliśmy z kolegami w rozgrywkach o Puchar Wójta Gminy Baćkowice – moja wioska wygrywała te zawody rok w rok. Ludzie z gminy po raz pierwszy zobaczyli, jak dobrze gram. Na mecz z Opatowem (prawie sami zawodnicy OKS-u Opatów) zeszła się cała gmina, przyjechał wójt. Wygraliśmy 5:2, był to nokaut dla OKS-u. Zjednoczyła się cała gmina, wrogie wioski, jak Nieszków, Wszachów, Piórków. Przyjaźń przysła miesiąc później, w finale mistrzostw gminy. Graliśmy w nim z Nieskórzowem, wioską wójta. Sędzia z Wszachowa, sługus wójta, podyktował dwa rzuty karne z kapelusza (w zasadzie z obciachowej czapki uszanki), ale i tak wygraliśmy 4:2, po moim dobrym meczu.

Potem były zawody o Puchar Starosty. Finałowa rywalizacja toczyła się w Ożarowie na boisku miejscowego Alitu – zespołu wówczas trzecioligowego. Moja gmina zajęła 3. miejsce. Zdobyłem tylko jednego gola, bo przez całą noc nie spałem, jadąc pociągiem z Wrocławia. Prezes Alitu tak się mną zachwyił, że kazał mi przyjeżdżać na treningi. Ale mi się nie chciało przenosić z Wrocławia – ciągle wtedy studiowałem. A miałem już 27 lat. Rok później zakończyłem edukację we Wrocławiu (znów mnie wylali). Byłem wtedy już po swojej pierwszej książce – *Księstwo. Księga druga* i filmie *Stacja Mirsk*. Nie odniosły spodziewanego sukcesu, więc wyjechałem szukać pracy we Francji. W Paryżu zaliczyłem kilka treningów w trzecioligowym (ciągle ta trzecia liga!) Paris FC. Znam francuski – poszedłem na trening i zapytałem trenera, czy mogę potrenować z jego zawodnikami. Powiedziałem, że jestem polskim piłkarzem na wakacjach – chcę grać, żeby nie wyjść z formy. Zgodził się. Grali tutaj sami Murzyni. Nawet nieźle sobie radziłem, ale nie znalazłem pracy w Paryżu – zjechałem

całą Francję, w końcu wróciłem do Polski – niespodziewanie podpisałem umowę z wydawnictwem Zysk i S-ka na dwie książki, a mój film *Stacja Mirsk* zdobył Grand Prix na IX krakowskim festiwalu filmowym KRAKFFA. To była końcówka 2005 roku. Wiedziałem, że jestem bliżej wielkiej literatury niż wielkiego futbolu. Umowa z Zyskiem była dla mnie równie ważna jak kontrakt z Lechem Poznań.

Na okładce mojej książki *Niech żyje wolność* widniały buty piłkarskie zawieszane na ławce. W 2006 roku udzieliłem dużego wywiadu do „Przeglądu Sportowego” – *Diego Armando literatury*. Żałowałem, że nie jako piłkarz, lecz pisarz. Zastanawiałem się, czy to nie za wcześnie na całkowite odwieszenie kółków.

Na początku 2006 roku prawa do sfilmowania trzech moich książek kupił znany producent filmowy – Paweł Rakowski. W wakacje 2006 roku wzięłem ślub z Renią. Rok później urodził mi się syn Wiktor. W tym czasie nie trenowałem, bo przyplątały mi się strasznie bolesne zwapnienia ścięgien podeszwowych. Ale piłki nożnej ciągle mi było żal. Tyle miałem szans, żeby zostać zawodowym piłkarzem, a żadnej nie potraktowałem poważnie. Nawet już po zamieszkaniu w Puławach, kiedy miałem 29 lat i chodziłem pokopać piłkę z kuzynami mojej żony na „orliku”, przychodzili tam pograć zawodnicy Wisły Puławy. Namawiali mnie na grę w Wiśle. Jakbym wtedy poszedł, grałbym teraz pewnie w II lidze. Kuzyni żony są w wieku 12-14 lat. Żadne tam ułamki. Jeden gra w piłkę nożną w Wiśle Puławy. Drugi – w siatkówkę. Trzeci trenuje piłkę ręczną. Graliśmy 3 na 1, żeby były równe szanse. Zawsze wygrywałem – czasem było trudniej, czasem łatwiej. Żartowałem, że kiedy przegram z nimi po raz pierwszy, będzie to świadczyło, że się starzeję.

Cały czas chciałem być przy piłce nożnej. Choćby – pisząc o niej. W połowie 2007 roku zamierzałem napisać książkę o Radosławie Matusiaku, który właśnie był po transferze z Belchatowa do Palermo. Niestety, to była równia pochyła i zanim zdążyłem się zabrać do książki, nie było już o czym pisać. Bo o swoim upadku Matusiak nie zgodził się opowiedzieć. Nieobecność w kadrze narodowej piłkarzy z małych miasteczek i wsi jest jedną z przyczyn słabości polskiej piłki. Tylko tacy mają tak naprawdę motywację do gry, bo sport to dla nich często jedyna szansa na lepsze życie. W świętącej sukcesy kadrze Kazimierza Górskiego takich biednych chłopaków znikąd było wielu. Ostatnio wyróżniał się tylko jeden – Jacek Krzynówek, chłopak z Chrzanowic. Niestety, w ostatnim okresie prym wiedli chłopcy z bogatych domów – tacy jak Radosław Matusiak. Mimo talentu nie rzucili wszystkiego na jedną kartę i ich kariery nie rozwinęły się tak, jak mogły. Nie mieli motywacji.

W 2008 roku zacząłem pisać scenariusz filmu o tematyce piłkarskiej – *Transfer*. Żeby sobie przypomnieć realia boiskowe, wznowiłem treningi w druży-

nie z lubelskiej A klasy – KS Drzewce. Początki nie były zbyt udane – trener nie stawiał na mnie; jesienią 2008 roku zagrałem raptem 11 minut w końcówce meczu. Mogłem zdobyć ładnego gola lobem, ale przestrzeliłem. Przestałem trenować. Do gry wróciłem dopiero w połowie maja 2009 roku – zagrałem w pięciu meczach w podstawowym składzie, zdobyłem dwa gole i miałem trzy asysty. Dobrą grę w Drzewcach zakończyły moje przenosiny do Krakowa, do pracy w Korporacji Ha!art. Chciał mnie klub KS Zwierzyniecki Kraków, ale niestety trener Janusz Dziekanowski, zawistny dupek, nie wydał mi mojej karty zawodniczej. Jak pół roku później wróciłem do Puław, do Drzewc już nie poszedłem. I mimo że w swoim składzie widziała mnie KS Góra Puławska, która właśnie awansowała do ligi okręgowej, na sezon 2010-11 zostałem wytransferowany do Puławianka Puławy – za pięć pilek. W okresie przygotowawczym zrobiłem błyskawiczne postępy – w meczu z KS Zaborze, wygranym 12:5, zdobyłem pięć goli! Niestety, moja rosnąca dyspozycja strzelecka wzbudziła zazdrość kolegów z drużyny. Przed pierwszym meczem w oficjalnym sezonie poszarpałem się z jednym z nich. Ptaku myślał, że jak pisarz, to w mordę nie da. Miał 45 lat, a ciągle nie mógł dorosnąć. Żona prowadzi kwaciarnię, interes idzie dobrze, bo żona ma talent do układania bukietów. Dzięki temu Ptaku może grać w piłkę, pić piwo z kolegami. Kiedy przyszedłem do klubu, trafił go szlag. Chciał mnie ośmieszyć, sprowadzić do zera. On zaczął, ja skończyłem. Powiedziałem w szatni: „Jeszcze raz coś do mnie powiesz, skomentujesz, kopnę cię w łeb, aż się potoczy po boisku”. Zdębiał. Tego się po mnie nie spodziewał. O tym, co o mnie gadał, powiedział mi jeden z młodszych kolegów. Trener Bojek posadził mnie na ławce rezerwowych. Wszedłem na ostatni kwadrans. I od razu zdobyłem gola na 3:1, potwierdzając nasze zwycięstwo. Pokazałem Ptakowi gest Kozakiewicza. Trener jakoś nas pogodził, ale straciłem miejsce w podstawowym składzie. Niedługo później miałem zagrać piłkarza w filmie *Księżstwo*. Sceny piłkarskie były kręcone 25 września na stadionie czwartoligowej Łysicy Bodzentyn. Pojechaliśmy tam z hotelu Paradiso w Suchedniowie razem z Rafałem Zawieruchą, który grał „mnie” w filmie. Dostaliśmy stroje od klubu Łysica Bodzentyn, którego zawodnicy także niedługo później się zjawili. Zostaliśmy podzieleni na dwie ekipy – zielono-białych i niebiesko-czerwonych. Początkowo Rafał Zawierucha średnio sobie radził – uczyłem go wszystkiego po kolei. Ale czego można nauczyć w tak krótkim czasie? Dryblingu? Panowania nad piłką? Strzału nożycami? Czegoś można – Rafał ma wrodzony dryg do piłki, bo szybko się uczył podstaw. Mieliśmy czas do zachodu słońca. Operator Jacek Petrycki konsultował ze mną wszystkie sceny – na przykład finałowy faul na głównym bohaterze.

Przygotowujemy pieczołowicie scenę. Piłkarze Łysicy przykładają się – widać, że występ w filmie to dla nich duże przeżycie. Reżyser krzyczy: „Akcja!”. Bramkarz podaje mi piłkę dalekim wyrzutem. Przyjmuję gałę na klatę i biegnę wzdłuż linii bocznej. Mijam jednego z bocznych pomocników, chcę kiwnąć redaktora Piotra Mareckiego, komentatora twórczości Barańskiego, i wyłożyć piłkę sam na sam Zawierusze. Zanim pędzi Gacek i obrońcy przeciwnej drużyny. A wtedy jak spod ziemi wyrasta defensor Marecki. I wybija mi piłkę. Musimy zaczynać wszystko od nowa. I co? Marecki znowu wybija mi piłkę. Chłopaki z Łysicy zaczynają się denerwować. Jeden podchodzi do mnie i mówi: „Powiedz temu swojemu koledze, żeby tak bardzo się nie wczuwał, bo kariery i tak już nie zrobi!”. Względem mnie chłopaki z Łysicy zachowywali się bardzo w porządku. Faktem jest, że paru kojarzyłem z czasów, gdy grałem w OKS-ie Opatów albo w Koronie. Mamy wielu wspólnych znajomych. Traktowali mnie z szacunkiem nie tyle dlatego, że to moją biografię filmowali – po prostu na rozgrzewce parę razy huknąłem pod poprzeczkę nożycami. Zapłaciłem za to odnowieniem kontuzji – musiałem założyć opaskę stabilizującą na lewe kolano. Masażysta z Łysicy wtarł mi silną maść przeciwbólową. Z trudem dotrwałem do końca zdjęć, a przecież było jeszcze wiele innych scen. Na przykład Zawierucha musiał zdobyć kilka ładnych bramek – pokazywałem mu, jak to się robi. A noga cały czas bolała. Rafał padał na ziemię – a to ze szczęścia po zdobytym голу, a to z bólu z powodu odniesionej kontuzji. Było tak, jakbym się cofnął w czasie o 14 lat. Przypominało mi się, jak kiedyś grałem mecz przeciwko Łysicy w barwach OKS-u Opatów. Przegraliśmy 4:1, zdobyłem jedyną bramkę. Podczas zdjęć podszedł do mnie prezes Łysicy. Facet około pięćdziesięciu. Pamiętał mnie z tamtego meczu – był wtedy u schyłku kariery, ja dopiero zaczynałem. Myślał, iż pisarz to taki starszy gość, a tutaj taki młody facet. Wypytywał, czy nie chciałbym grać dla Łysicy. Obiecałem rozważyć propozycję.

Zdjęcia się przeciągały – czasem biegaliśmy bez piłki, jak frajerzy, bo nagrywany był dźwięk i byłyby zakłócenia. Czasem musieliśmy krzyczeć jak opętani – słowa i frazy z meczów. A to znowu nadleciało stado wron i przerwaliśmy ujęcie, bo strasznie hałasowały. Słońce powoli zachodziło nad pobliskim szczytem Łysicy, od której klub wzięł swoją nazwę. Piłkarze zaczęli narzekać, że są głodni. I że producenci filmu będą im musieli dopłacić za dodatkowy czas. Albo postawić kratę piwa. Bardziej od tego filmu interesował ich *Transfer* – jak opowiadałem im o burdelach, kasynach, korupcji, to aż im się oczy zaświeciły. W takim filmie to za darmo by zagrali. Swoją drogą – piłka prowincjonalna bardzo się zmieniła. Ja grałem w czwartej lidze za bułkę z szynką, oni mają pensje po 2-3 tysie na miesiąc.

Niektórzy więcej. W czwartej lidze, czyli dawnej (przed reorganizacją) piątej! I są znacznie mądrzejsi od moich kolegów sprzed lat, od tych Suchych, Baców, Skobli, Flisków. Inna sprawa, że niewielu z nich pochodzi z Bodzentyna – zostali sprowadzeni z Korony Kielce, Hetmana Włoszczowa, Granatu Skarżysko-Kamienna, KSZO Ostrowiec, Pogoni Staszów. Mieli w tym roku zrobić awans. Pytają mnie, gdzie można kupić moje książki, bo chcieliby poczytać. Dla wielu jestem kimś w rodzaju idola – mimo że nie zrobiłem wielkiej piłkarskiej kariery, to przeżyłem fajną przygodę. Robią o tym film. Komu to jeszcze jest dane? Deynie? Chłopaki z Łysicy podziwiają przede wszystkim moją żonę. „Musiałeś być dobrym piłkarzem – mówi jeden z nich. – Takie piękne żony mają tylko dobrzy piłkarze”.

Mareckiemu mówię podczas obiadu w stołówce, że zmarnował szansę na karierę piłkarską – zamiast kopać ludzi po kostkach, zajął się wydawaniem książek. A mógł zostać powszechnie szanowanym człowiekiem. Strasznie rozbawiło to Barańskiego. Marecki sporo nauczył się od chłopaków z Łysicy – odgrzązał się, że jeszcze nie koniec zdjęć i sprzeda mi kosę. W końcu przypomniałem sobie, z kim mi się kojarzył – z Ricardo Carvalho, świetnym portugalskim defensorem.

Niespodziewanie wysoką formę złapałem po zimowej przerwie. W czterech meczach z rzędu zdobyłem osiem goli, w tym hat-trick: w pojedynkę wygrałem mecz z Legionem Tomaszowice (3:1). Pierwszy gol był szczególnie piękny, z okolic narożnika pola karnego. Spotykam trenera pod marketem w Puławach. Mówi: „A widzisz, ile to czasem trzeba przekonywać kogoś do siebie”. Ma na myśli Ptaka, który wreszcie we mnie uwierzył. Jednak przed rozpoczęciem sezonu Ptaku wyczytał na mojej stronie internetowej, co o nim napisałem we wrześniu. Wściekł się. Kupił do klubu dwóch napastników – młodszych i szybszych ode mnie. I tak znowu trafiłem na ławkę rezerwowych. Jednak mimo, że wchodziłem na końcowe 15 minut, w 29 meczach zdobyłem 21 goli, przyczyniłem się do awansu mojej drużyny do wyższej ligi.

Koledzy z drużyny wołali na mnie Redaktor, bo dla nich ktoś, kto pisze, musi być dziennikarzem. Podczas meczu nie było dla mnie taryfy ulgowej – krzyczeli: „Zap...dalaj, Redaktor!”. Jeszcze gorzej traktowali mnie kibice, gdy coś zawałem, robiło się wulgarnie. Ktoś może zapytać, po co mi ta piłka, użeranie się z Kropą (układacz asfaltu), Ciuciasem (budowlanka) czy Dزيدem (sprowadza używane samochody)? Otóż to mi świetnie robi na psychikę. W niedzielę gram mecz z Piekiełkiem Przykwa albo Gigantem Przytoczno, a w poniedziałek rano dyskutuję z Krzysztofem Zannussem o konstrukcji scenariusza filmu o Polakach pracujących we Francji, który dla niego piszę. Zostanę zbluzgany przez kibiców lub kolegów, to czuję, jakbym

wrócił tam, gdzie kiedyś zaczynałem. I, mało brakło, gdzie mogłem skończyć.

W połowie czerwca 2011 pojechałem na spotkanie autorskie do Krasnobrodu. Od Tomka Pakuły, który był moderatorem wieczoru, dowiedziałem się, że powstaje tam klub grający w piłkę błotną. Błotny Klub Sportowy „Roztocze” Krasnobród – taka nazwa się ustaliła. Szybko wyraziłem chęć gry – dość miałem utarczek z Ptakiem o miejsce w składzie. Piłka błotna jest nowym sportem, a jej początki sięgają roku 1998, kiedy to w Finlandii biegacze narciarscy, przygotowujący się do sezonu, rozegrali pierwszy mecz na błocie. W przypadku tej odmiany piłki zasady odbiegają nieco od tych z trawiastej nawierzchni. Mecz toczy się w wymiarze czasowym dwa razy dwanaście minut, a na boisku przebywa sześciu zawodników (pięciu plus bramkarz). Rzuty karne, wolne, różne czy auty wykonywane są poprzez podrzucenie piłki i wybiecie jej nogą. Jeżeli podczas trwania zawodów piłkarz zgubi but, automatycznie musi opuścić plac gry, a jego miejsce zajmuje jeden z graczy rezerwowych. Za boisko posłużyła nam zaorana łąka nad rzeką Wieprz, nieopodal kaplicy na wodzie. Bramki zmontowane zostały z kilku patyków. Trzeba dodać, że krasnobrodzki obiekt spełnia oficjalne wymiary, które wynoszą dokładnie 60 na 35 metrów. Przed rozpoczęciem meczu miejscowa straż wylała hektolitry wody na plac gry, dzięki czemu z minuty na minutę konstruowanie jakichkolwiek akcji dla obu ekip stawało się bardzo trudne i graniczyło jedynie z cudem. W pierwszym meczu, z Arsenalem Lublin, nie mogłem się odnaleźć, tak jak chciałbym – nogi grzęzły w błocie, nie dało się właściwie ustawić stopy, wyjść w tempo na pozycję. Parę okazji, które na zwykłej murawie wykorzystałbym z zamkniętymi oczami, tutaj zmarnowałem. W drugim meczu, mimo że rozegranym z dziewczynami, czułem się już znacznie lepiej i zdobyłem trzy gole. Nagle zacząłem lepiej uderzać z przewrotki, co jest moim znakiem rozpoznawczym, dobrze ustawiałem się do piłek wyrzucanych przez bramkarza, dogrywanych przez kolegów. Gry w piłkę błotną nie da się nauczyć, bo zbyt wiele tutaj przypadku. I to w tym najpiękniejsze. Ta gra niweluje różnice w wyszkoleniu technicznym poszczególnych zawodników i szansę, żeby się wykazać, mają nawet ci teoretycznie słabsi. Z kolei wirtuozi z normalnej płyty wcale nie muszą tutaj potwierdzić klasy. Podczas meczu panowała wspaniała atmosfera – wszyscy świetnie się bawili, i zawodnicy, i licznie zgromadzeni kibice. Gra trwała 24 minuty, a mnie się wydawało, że to pełny wymiar meczu, tyle się podczas niego działo.

Było potem jeszcze parę ważnych meczów, które na długo zapamiętam. Na przykład ten z Los Brokeros 9:0 Lublin. Była to trzecia gra kontrolna naszej błotnej drużyny. Po remisie z Arsenalem Lublin spisaliśmy się o niebo lepiej, aplikując gościom aż sześć bramek, nie tracąc żadnej. Mieliśmy już nowe koszulki. Pomarań-

czowe, z naszym herbem, którego najważniejszym symbolem był mały silny konik, tarpan. Zmaganiom BKS Roztocze i Los Brokeros towarzyszyło mnóstwo walki i ostrych zagrań. Udało nam się szybko wyjść na prowadzenie – pewnym strzałem pomiędzy nogami jako pierwszy zmusiłem bramkarza gości do kapitulacji. „Grający na co dzień w barwach Puławia Puławy zawodnik w przekroju całego meczu dołożył jeszcze trzy trafienia i bez dwóch zdań należał do wyróżniających się zawodników na boisku” – napisał w relacji z tego meczu dziennikarz portalu Lubelskapilka.net i byłem dumny z tej „recenzji”, bardziej, niż z niejednej recenzji moich książek. Wygraliśmy 6:0, a Los Brokeros po tym meczu się rozpadli. Kibice łatwo mogli sprawdzić, kto najbardziej się starał, a kto włożył w spotkanie najmniej wysiłku. Wyznacznikiem zaangażowania była ilość błota na koszulkach, getrach, butach i twarzy zawodników. Każdy jednak obowiązkowo rzucił się jeszcze raz w błoto po ostatnim gwizdku sędziego, aby w taki właśnie sposób zakończyć udane zawody, bez względu na to, czy były one wygrane, czy też przegrane. Wszyscy się dobrze bawili, i o to w głównej mierze chodzi. Bo piłka, zarówno ta na zielonej murawie, jak i ta na błocie, powinna jednoczyć i sprawiać satysfakcję. Ten mecz był dla mnie ważny z jeszcze jednego powodu – trafiłem na plakat reklamujący ten mecz. Dość już miałem plakatów anonsujących moje spotkania autorskie. Miałem wrażenie, jakby czas się cofnął o 14 lat, gdy grałem w OKS-ie Opatów.

Trzeci mecz, który pamiętam, to sparing z Niemcami. W niedzielę 31 lipca 2011 roku na 4Fiter Arenie w Krasnobrodzie, a w zamyśle 3 lipca 1974 roku na Waldstadion we Frankfurcie zmierzyły się reprezentacje Polski i Niemiec. Wszystko to odbyło się w związku z kręceniem materiału reklamowego na Euro 2012, promującego futbol w Polsce, nagrywanego przez Studio Filmowe K z Puław. W rolę Kazimierza Deyny, Jana Domarskiego, Roberta Gadochy, czy też Gerda Muellera, Juergena Grabowskiego i Franza Beckenbauera wcielili się piłkarze BKS Roztocze. Nie zabrakło niczego, były stroje narodowe, hymny, dopisali również kibice. Już w pierwszej minucie spotkania Die Nationalelf wyszli na prowadzenie za sprawą Dawida Kuczmazewskiego, który precyzyjnym strzałem głową pokonał zaskoczonego i chcącego zastąpić w bramce Jana Tomaszewskiego Przemysława Czubata. Kolejne minuty należały już do biało-czerwonych – wyrównaliśmy po moim uderzeniu z rzutu karnego. W całym spotkaniu dołożyłem jeszcze cztery bramki, tym jedną przepiękną, z przewrotki! Próbowałem wiele razy i w końcu się udało. Pozostałe trzy trafienia dla Polski zaliczył Tomek Pakuła. Niemców stać było tylko na trzy gole. Także był to srogi rewanż za rok 1974. Powstał z tego film, który potem trafił na YouTube i jest doskonałą reklamą piłki błotnej. Obejrzało go już z pół Europy, dzięki linkowaniu przez holenderski portal

FutbolCulture, zajmujący się ekstremalnymi odmianami piłki nożnej.

Punktem kulminacyjnym naszych przygotowań były rozegrane 21 sierpnia w Krasnobrodzie I Mistrzostwa Polski w Piłce Błotnej. Wygraliśmy tę imprezę, a ja zdobyłem cztery gole i zostałem królem strzelców. Nie było łatwo, bo dwa tygodnie wcześniej, podczas jednego z meczów towarzyskich, złamałem żebro i grałem na środkach przeciwbólowych. Był to dla mnie największy sukces sportowy od brązowego medalu w przełajach w 1998 roku. Minęło 14 lat, a ja nadal biegałem w krótkich spodenkach. Dzięki temu zwycięstwu zdobyliśmy prawo, by za rok reprezentować Polskę w mistrzostwach świata w piłce błotnej, które zostaną rozegrane w szkockim Inverness.

Pod koniec sierpnia 2011 udzieliłem wywiadu dla „Gazety Wyborczej”, w którym oprócz literatury i filmu wiele mówiłem o piłce nożnej. Niedługo później skontaktowali się ze mną pisarze z Ukrainy z propozycją, żebym stworzył reprezentację polskich pisarzy w piłce nożnej. Na przełomie kwietnia i maja 2012 przygotowują dużą imprezę piłkarską w Krakowie i Charkowie, coś w rodzaju mistrzostw Europy pisarzy. Zabrałem się ochoczo do tworzenia drużyny – sam miałem taki pomysł w 2007 roku, ale go zarzuciłem, bo przerosło mnie to organizacyjnie. Warunkiem gry w naszej drużynie jest wydanie przynajmniej jednej książki. Wydawało się, że to nic prostszego – znaleźć 14-15 osób chętnych do gry. Dość szybko zadeklarowało się 16 prozaików i poetów. Pierwszy sparing naszej reprezentacji zaplanowałem na 14 stycznia. Od znanego menedżera piłkarskiego Andrzeja Grajewskiego (reprezentuje m.in. Sławomira Peszkę) dostaliśmy dla całej drużyny kompletne stroje marki Puma, z orzełkiem na piersi. Nic, tylko grać. Na pierwszego sparing-partnera wybrałem bardzo trudnego przeciwnika – reprezentację polskich dziennikarzy. Sparing został rozegrany w hali piłkarskiej przy ulicy Księcia Bolesława (Bemowo) w Warszawie. Już na papierze było widać, jak trudny to rywal – występuje tutaj wielu byłych piłkarzy. W dodatku jest to drużyna, która trenuje z sobą od siedmiu lat dwa-trzy razy w tygodniu, gromi wysoko wszystkich przeciwników. Na 16 pisarzy, którzy wyrazili chęć gry, zjawili się... dwóch. Ja i Jan Grzegorzczak, najstarszy w całym towarzystwie. Argumenty były rozmaite – brak czasu, bo chrzciny córki, pogrzeb ojca, egzaminy i zajęcia w szkole. A najczęściej – brak kasy na bilet do Warszawy, na nocleg. Dobrze, że zjawili się zaprzyjaźnieni warszawscy aktorzy, animatorzy kultury, jakiś piłkarz, i nie musieliśmy odwoływać meczu. Przynajmniej ładnie na zdjęciach wyglądaliśmy. Pierwsza połowa trwającego 80 minut meczu, rozgrywanego na igelicie, była zaskakująco wyrównana, „pisarze” prowadzili równorzędną grę. Z upływem czasu słabliśmy, przegrywając ostatecznie pierwszą połowę 3:0, chociaż było kilka okazji do do-

bycia bramki. W drugiej połowie dał o sobie znać brak sił, wynikający przede wszystkim z krótkiej ławki rezerwowych. Dziennikarze dysponowali znacznie liczniejszym składem, dokonywali zmian co kilka minut, ich poczynaniami kierował znany kiedyś piłkarz, a obecnie komentator sportowy Wojciech Jagoda. Ostatecznie pisarze przegrali wysoko, bo 13:1. Jedyne goła zdobył Marek Masternak po moim podaniu. Pierwsza była zaskakująco dobra, goście się wkurzali, bo walili głową w mur. Graliśmy ze sobą pierwszy raz w życiu, niektórzy pierwszy raz w życiu widzieli się na oczy. Dopiero w drugiej połowie pękliśmy kondycyjnie, za bardzo wszyscy poszliśmy do przodu, dziennikarze grali z kontry. Szkoda, że zabrakło 3-4 ludzi na zmiany. Mimo to mogliśmy zdobyć kilka bramek, bramkarz przeciwnika bronił znakomicie. Ale przegrać z tak dobrym rywalem to żaden wstyd. Dziennikarze mówili, że jak siedem lat temu tworzyli swoją kadrę, też tak ich wszyscy loili. A teraz to oni leją wszystkich. Trzeba jednak systematycznie i długo trenować, żeby uzyskać takie zgranie, zwłaszcza na mniejszej przestrzeni. Żałuję, że nie byłem w swojej normalnej dyspozycji, którą osiągnąłem w drugiej połowie 2011 roku. Na dzień przed meczem złapałem jakieś fatalne zatrucie pokarmowe i drogę do Warszawy spędziłem z reklamówką w rękach, na wypadek wymiotów. Nie wspomnę już o lęku przed szarą. Grałem z rotawirusem, na stoperanie. Zamiast na „stoperze”... W takiej formie niewiele można zrobić, a szkoda, bo była okazja, żeby sprawić niespodziankę. To drugi ważny turniej, w którym byłem niedysponowany – we wrześniu graliśmy mecz charytatywny w Lublinie – tam z kolei byłem w trakcie grypy, grałem na gripexie. Na następny sparing w Poznaniu wybierzemy sobie znacznie mniej renomowanego przeciwnika.

Chyba każdy młody chłopak, który zaczyna kopać piłkę, marzy o tym, żeby zostać mistrzem kraju i zagrać w jego reprezentacji. Mnie udało się to ostatecznie osiągnąć, ale zupełnie inaczej, niż to sobie kiedyś wyobrażałem. Książki i filmy muszą zastąpić medale i pu-chary za piłkarskie sukcesy.



EURO 2012, Warszawa. Fot. Anna Beata Bohdziewicz.